



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 8-59-59

ŻYCIE LITERACKIE

KRAKÓW, UL. WIŚLNA 2

wydanie

22. 1. 67

STEFAN OTWINOWSKI

Notes KRAKOWSKI

Mniej więcej przed tygodniem mogliśmy obejrzeć nową premierę w Teatrze Ludowym. Była to nie tylko premiera mało znanego u nas pisarza amerykańskiego, Jamesa Baldwina, ale i uroczystość intronizująca Irenę Babel, kierowniczkę artystyczną nowohuckiej sceny. Irena Babel jest także reżyserem sztuki Baldwina, autorką przekładu i opracowania scenicznego.

James Baldwin pochodzi z rodziny murzyńskiej; we wszystkich swoich utworach eksponuje wątek autobiograficzny. Jest więc i w „Bluesie dla pana Charlie” konflikt murzyński na tle konserwatywnego amerykańskiego miasta, jest i rodzina pastora, są zawile losy tej rodziny, zjawia się dramatyczna bynajmniej nie pokrorna problematyka religijna. W żadnym razie nie można by powiedzieć, że sztuka, że ukazał się nam oto jeszcze jeden sentymentalny utwór biednego Murzyna i wiernego poza tym chrześcijanina. Sztuka nie jest sentymentalna, przeciwnie: ostra, brutalna, z wyraźnym przesłaniem bytu i nadziei. Nadziei, która nie chce się odwoływać wyłącznie do nieba. Toś, literacko rzecz biorąc, formowana jest na sposób epicki. Gdybyśmy dali ją w przekładzie dosłownym także w stosunku do ilości tekstu — spektakl trwałby przynajmniej pięć godzin. Praca Ireny Babel była więc również zabiegami adaptacyjnymi. Przedstawienie trwa i tak około trzech godzin, ale nie nudzi. Narracja jest aktywna i świeża. Nas, krakowian, dobrane zżytych z tą sceną, zaskoczył zrazu pełny realistyczny wyraz inscenizacyjny. Ale okazuje się, że można przyjąć i taką tutaj reżyserię. Można przyjąć, a nawet czerpać z niej satysfakcję. No, no, żeby nie uroczyć... Wstrzymuję się zatem z dalszymi pochwałami pod adresem reżyserki z przyczyn, primo: zawsze dobrze życzyłem i życzę temu teatrowi, secundo: wcale we mnie nie wygasła sympatia do wielu inscenizacji Szajny, nie mówiąc już o Skuszance i Krasowskim, tertio: jeśli się było prze-

sądym, trzeba zostać przesadnym, psychoanaliza jest pięknem gorszym od życia wśród zabobonów. Ale to już sprawa całkowicie osobista. Pardon.

Nudno dosyć było na premierze w Teatrze Kameralnym. Ta mała przyjemna scena pokazała nam „Pokojówki” Geneta. O autorze tym dużo slyszalem, dużo czytałem; czytałem także jego sztuki, a przed rozpoczęciem przedstawienia wglębilem się w lekturę przyzwoicie wydanego programu. Od rozważań Francuzów wolę inteligentne sugestie Jana Błońskiego. Co prawda Błoński ostatnio przez czas dłuższy mieszkał w Paryżu, ale odważnie myśleć umiał już u nas, w Krakowie. Żeby skończyć z Błońskim — nie będzie to łatwe — powiem, że i tłumaczeniem „Pokojówek” zajął się właśnie on. A więc byłem naładobwany nieźle Genetem, nim zacząłem patrzeć na scenę, przygotowaną naturalnie przez Krystynę Zachwatowicz. Nie, muszę jeszcze na chwilę wrócić do lektur: otóż przeczytałem niedawno książeczkę Jana Kotta „Aloes” — w tomiku szkiców znajduje się esej „Rodzina Mroźka”. Zaczyna się wreszcie przedstawienie „Pokojówek”, a ja, proszę sobie wyobrazić, ciągle myślę o Błońskim, potem o Kotcie, potem o Mroźku, Witkiewiczu i Gombrowiczu. Wszyscy oni wydają mi się nagle ciekawsi od Geneta i od tego, co się na scenie z powodu Geneta dzieje. Nie chcę przez to powiedzieć, że „rodzina Geneta” to bliźcy krewni Gombrowicza na przykład. Wcale nie tacy bliźcy. Ale cóż to znowu? Gdzie ja jestem? Jestem, proszę państwa, w kawiarni, gdzie Witold Gombrowicz rozwija przed słuchaczami swój „system pozorów”. Tak, tak, trzydzieści lat temu. Jak ten czas leci.

Sztukę reżyserował Konrad Swinarski. Ale bez inwencji. Jakby nie uważając zjawiającego się jednak od czasu do czasu humoru. Czyżby reżyser nie wierzył w możliwość trzech dobrych aktorek? Przecież z tymi aktorkami nieraz już w Krakowie robił świetne przedstawienia. Nie wiem, gdzie tu błąd, ale nieporozumienie w ścisłym

tego słowa znaczeniu widoczne. Publiczność w zjawiska wyobraźni autora nie została wciągnięta. Tak było na premierze prasowej.

Byłem także na krakowskiej premierze „Szyfrów” Kijowskiego i Hasa w kinie Apollo. Pisano już recenzje z tego filmu, więc tylko o szczególnie krakowskich akcentach dramatu. Otóż właśnie dramat, chwilami nawet dramat co się zowie sceniczny. Najlepsze sceny kameralne we wnętrzach krakowskich. Jak świetnie je Skarżyński w stylu określił! Tak się u nas mieszka. W ogromnej ciasnocie, ale ze szlachetną, nie dzisiejszą wytwornością. Komfort nie dla nas. Owszem, kupimy może telewizor, ale stanie on w pokoju tak, że i metra perspektywy nie uzyskamy. A zresztą na co nam telewizor? Jeśli chodzi o prelekcje, odczyty, informacje o życiu i kulturze, to trzydziestu najlepszych profesorów, docentów, byłych ministrów każdego wieczora da nam swój pogląd w słowach żywych. Sprawdziłem właśnie w gazecie, tak, dokładnie trzydzieści spotkań i prelekcji zapowiada „Dziennik Polski” na dziś i na jutro, i tak co dzień. Mam też dziesięć scen dramatycznych, więc po co nam teatr w niewielkim szkieletku. W teatrach czy salach odczytowych pustawo, miejsca więc dużo — w domu ciasnota, że niech Bóg bronil! Place i ulice Krakowa Has pokazuje ciągle w tonacji szarej — ponure, smutne miasto. Ma to w filmie znaczenie, że w duszach głównych bohaterów panuje mrok i tajemnica. Tak sądzę. Film został przyjęty w Krakowie życzliwie, piszą o nim dobrze. Bądź co bądź, robili go ludzie z kulturą — to znaczenie dla Krakowa. Tylko aktorzy byli przeważnie warszawscy, lecz aktorzy z dobrą teatralną tradycją. I jeśli oni sami nie kończyli szkół w Krakowie, to ich nauczyciele uczyli się na pewno w tym mieście. Has jednak od czasu do czasu zdradza Kraków i ucieka. W „Szyfrach” na przykład ucieka w metaforę, a metafora — wytknęli mu to słusznie recenzenci warszawscy — rol się od koni, przeważnie słych. Tak, z kołmi byłby już czas skończyć. Nie macie pojęcia, jak się kiedyś w kinie widzowie ucieszyli, gdy na „Cierpkich głogach” po długiej frazie końskiej reżyser zarzykował frazę krowią. Wspomniał i też nie krótką sekwencję z krowami. Publiczność spontanicznie zagęszcza oklaskiwać filmowe krowy, nasycona po dziurki w nosie filmowymi i metaforycznymi kołmi.

STEFAN OTWINOWSKI